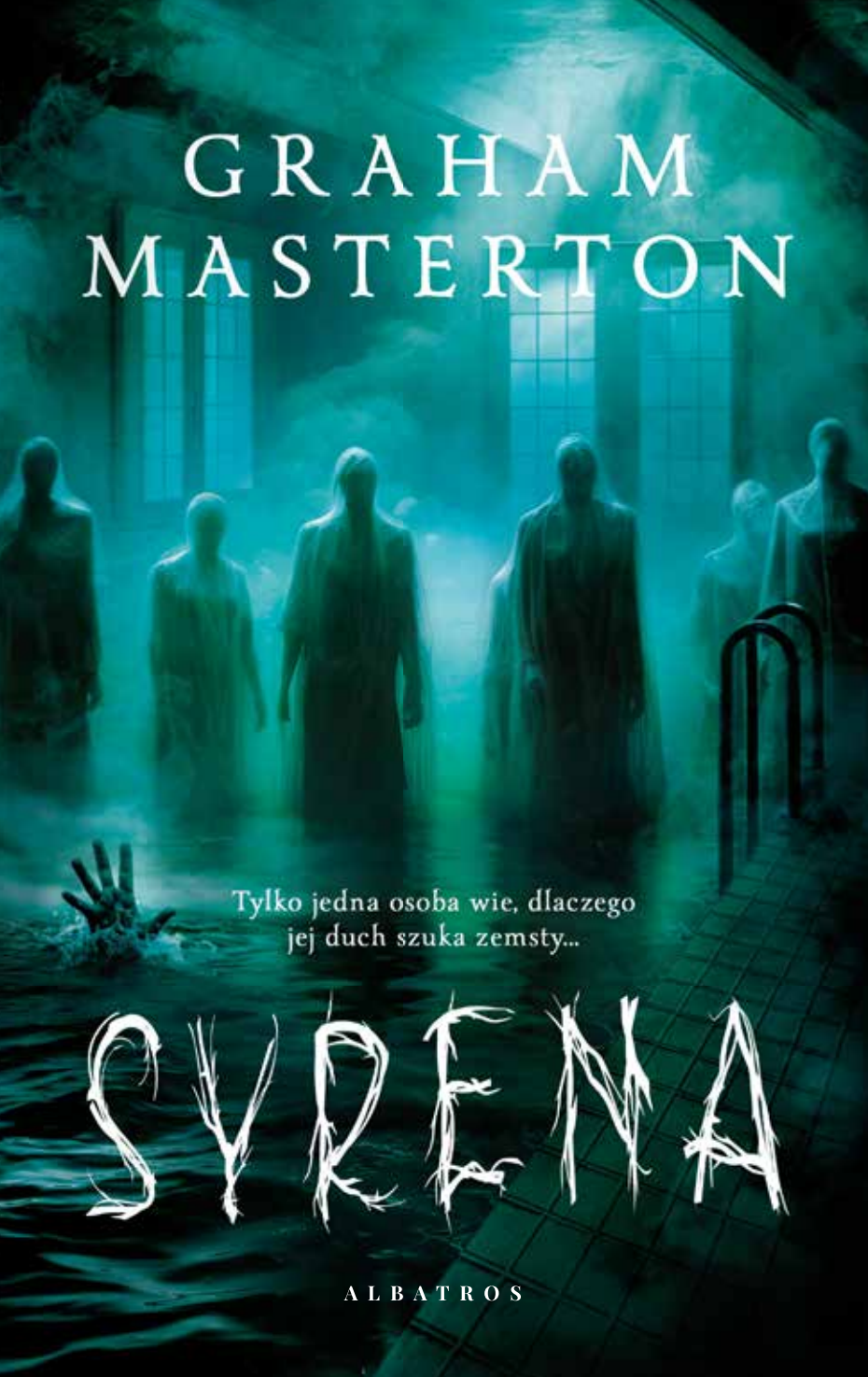




GRAHAM MASTERTON

Tylko jedna osoba wie, dlaczego
jej duch szuka zemsty...

SIRENA

ALBATROS

Tytuł oryginału:
SWIMMER

Copyright © Graham Masterton 2001
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2025

Polish translation copyright © Paweł Wieczorek 2001

Korekta: Sabina Raczyńska, Urszula Okrzeja

Projekt graficzny: Agnieszka Drabek / Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Ilustracje na okładce oraz 1. i 3. stronie: Freepik

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
e-mail: kontakt@wydawnictwoalbatros.com
wydawnictwoalbatros.com



ROZDZIAŁ 1

– Mike, skarbie, nie chlap! – zawołała Jennie, a potem nasunęła na czoło słomkowy kapelusz z szerokim rondem i położyła się wygodnie na leżaku. Jej syn, jak zwykle, nie zwracał uwagi na cały boży świat i w dalszym ciągu gonił młodszą siostrę wokół basenu. – Mike! Jeżeli będziesz dalej chlapał, natychmiast wyjdiesz z wody!

– On mi moczy włosy! – poskarżyła się Tracey. – Mamo, on mi moczy włosy!

– Dość tego, młody człowieku! – powiedziała Jennie, odłożyła powieść Grishama i wstała. W tym momencie w środku domu zaświergotał jej telefon komórkowy. – To twój ojciec. Powiem, co wyprawiasz!

Przeszła szybkim krokiem po wyłożonym cegłą patio i zniknęła w oszklonym solarium. Jej syn w dalszym ciągu chlapał, a córka wrzeszczała. Mike zawsze robił mnóstwo zamieszania – od dnia, kiedy zaczął pęłzać po pokoju i ściągać na podłogę obrusy i serwetki razem

z fotografiami w ramkach, wazonami z kwiatami i lampami. Teraz miał dziewięć lat i był jeszcze gorszy. Jennie ledwie umiała nad nim zapanować.

Znalazła telefon pod kwiecistą poduszką w sypialni.

– Doug, to ty?

– Cześć, skarbie. Chciałem tylko powiedzieć, że spotkanie na temat preliminarza finansowego potrwa znacznie dłużej, niż się spodziewaliśmy. Prawdopodobnie zobaczymy się dość późno.

Tracey darła się głośniejszym niż zwykle.

– Mamo! Mamo! Chodź tu szybko! Mamo, chodź szybko!!!

Jennie zasłoniła dłonią mikrofon słuchawki i krzyknęła:

– Mike! Kiedy wyjdę, będziesz miał poważne problemy!

– Co się dzieje? – spytał Doug. – Mike znów szaleje?

– A czego się spodziewasz, skoro nigdy cię nie ma w domu, a kiedy już jesteś, tylko go rozpieszczasz?

– Daj spokój, Jennie, urabiam się po pachy. Jak myślisz, dlaczego stać nas na basen, dwa samochody i wyjazd na narty co roku?

– Mamo! Mamo! Musisz szybko przyjść! Chodzi o Mike’a! – krzyknęła Tracey.

– Muszę iść – powiedziała Jennie. – Dzieciaki robią piekło.

– Hej... zanim się rozłączysz, mam jeszcze prośbę:

odbierzesz z pralni mój jasnobrązowy garnitur? Mogłabyś też zadzwonić do Jeffa Adamsona z Ventura Pools i sprawdzić, co się stało z nowym filtrem, który miał zamontować?

– Oczywiście, nie ma sprawy. O której można się ciębie spodziewać?

– Nie wiem. Może będę musiał zostać nawet na noc.

– Tak? Jak ma na imię?

– Co masz na myśli? Kto?

– Twoja konieczność zostania na noc.

– Rany, znowu zaczynasz. Może jestem pracoholikiem, ale cię nie zdradzam.

– Mamo! Mamo! Mamo!

– Na litość boską! Rozmawiam przez telefon z tatą!

– Chyba lepiej będzie, jeśli do nich wyjdiesz – powiedział Doug. – Zadzwonię, kiedy zjemy, i powiem ci, jak sprawy stoją. Zgoda?

Jennie wyszła na dwór przez solarium. Na zewnątrz było tak oślepiająco jasno, że nie bardzo do niej docierało, co widzi. Krzaki po lewej stronie basenu gwałtownie się zatrzęsły, jakby ktoś przez nie przechodził, choć nikogo nie było. Woda w basenie błyskała i migotała i kiedy Jennie wyszła z obudowanego szklanymi taflami pomieszczenia, ujrzała Tracey – po szyję w wodzie, z mokrymi, przylepionymi do twarzy włosami, co wyglądało tak, jakby założyła maskę z wypolerowanego mosiądzu.

– Co się stało? – zapytała córkę. – Gdzie Mike?

Tracey odsunęła włosy z twarzy. Miała rozszerzone, spanikowane oczy.

– Mamo... nie udało mi się go uratować. Poszedł prosto pod wodę.

Czując, jak jej ciałem wstrząsa dreszcz przerażenia, Jennie podbiegła do skraju basenu. Z początku nie widziała syna, po chwili jednak dostrzegła błądy cień na dnie, w głębokiej części niecki.

– Tracey, dzwoni pod dziewięćset jedenaście! – krzyknęła. – Powiedz, żeby przysłali karetkę, szybko!

Wzięła głęboki wdech i skoczyła do wody. Kiedy nurkowała, słomiany kapelusz spadł jej z głowy. Zanurzając się, tak mocno machała ramionami, że miała wrażenie, jakby zaraz miały jej popękać mięśnie. Nigdy nie była dobra w nurkowaniu, dotarła jednak do Mike'a, wykonawszy kilka ruchów, i złapała go za rękę. Odwrócił się powoli, przekręcił brzuchem do dołu i spojrzał na nią. Miał rozszerzone oczy i wyglądał, jakby się uśmiechał.

Jennie popłynęła ku powierzchni, wlokąc syna za sobą. Wyszła z płytkiego końca basenu, niosąc go na rękach. Jego nogi bujały się, głowa zwisała bezwładnie. Położyła chłopca na brzegu i natychmiast zaczęła go reanimować metodą usta-usta. Boże, na pewno żyje. Nie rozmawiała przez telefon dłużej niż dwie minuty. Jak mogłby się tak szybko utopić?

– Proszę, Mike... – błagała. – No, Mike, zacznij oddychać! Cholera, Mike, kochanie, musisz oddychać!

Tracey wyszła z domu.

– Utopił się? – spytała piskliwym, zalęknionym głosem.

– Zadzwońaś po karetkę?

– Tak. Pani powiedziała, że przyjadą bardzo szybko.

Jennie rozpaczliwie wdmuchiwała powietrze w usta Mike’a. Wargi miał lodowate, a jego ciało było w dotyku takie, jakby nie żył od wielu godzin. Wciąż dmuchała, a łzy spływały jej po policzkach i skapywały na twarz syna.

– Oddychaj, kochanie, musisz oddychać!

Minęła wieczność, zanim na ulicy zatrąbiła syrena. Oczy Mike’a były otwarte i nieruchome, a kiedy Jennie próbowała usunąć mu wodę z płuc, przetaczał się bezwładnie z boku na bok. W dalszym ciągu wyglądał, jakby się złośliwie uśmiechał, i nie mogła uwierzyć, że nie żyje. Na pewno za chwilę wstanie, zacznie podskakiwać wokół basenu i się śmiać.

Przez podwórko szybkim krokiem przebiegło dwoje ratowników. Niska Latynoska o gęstych, czarnych, kręconych włosach delikatnie pomogła Jennie wstać, ratownik ukląkł przy Mike’u i zaczął go badać.

– Nic mu nie będzie, prawda? – spytała Jennie. Wiedziała, że stało się najgorsze i jej syn nie żyje, a jednak modliła się, by wyszkoleni ratownicy dokonali cudu. W końcu ciągle to robią w *Oстрыm dyżurze*, prawda? Widziała niejednego reportaż o dzieciach, które się topiły

i zostały odratowane. W Kanadzie nawet cały autobus pełen dzieciaków wpadł pod lód...

– Może wejdzie pani do środka – powiedziała Latynoska, biorąc ją pod ramię. – Chodźmy, usiądzie pani.

– To mój syn... – zaprotestowała Jennie. – Mój jedyny syn!

Kłęczący obok Mike'a ratownik wstał i podszedł do nich.

– Tak mi przykro... – wymamrotał. – Nie mogliśmy nic zrobić.

Jennie wyrwała ramię z uchwytu Latynoski i podeszła do syna na nogach słabszych od suchych patyków. Powoli opadła na kolana i położyła sobie na nich jego głowę. Wyglądała jak południowokaliifornijska pieta. Kilku gapiów zebranych za płotem stało w całkowitym milczeniu.

Czuła zimno, jakby chmura nagle zasłoniła słońce. Nie był to jednak tylko wynik wstrząsu, nie była to jedynie rozpacz. Kryło się za tym coś więcej – Jennie czuła, że przez podwórze przeszło coś bardzo złego i wrogiego. Popatrzyła w kierunku krzewów, które trzęsły się, gdy wychodziła z domu. Nie było tam nikogo. Krzaki posadzili niezbyt gęsto, więc gdyby ktoś w nich był, na pewno by zauważyła. Patrząc w tamtą stronę, ujrzała jednak – w cieniu drzewa pomarańczowego – kilka odcisków stóp na ceglach. Stóp dorosłej osoby.

Z domu wyszedł ratownik, wytaczając nosze na kółkach. Opuścił je obok Mike'a.

– Ułóżmy go wygodniej, dobrze? – powiedział.

Skinęła głową i podnieśli go we dwoje, po czym ułożyli na noszach.

– Niech pan nie przykrywa mu twarzy – poprosiła Jennie. – Jeszcze nie teraz. – Zajrzała do domu i zobaczyła, że ratowniczką zajmuje się Tracey, a do salonu właśnie weszła Blanche, sąsiadka, zapłakana i roztrzęsiona.

Jennie zostawiła Mike’a, obeszła basen i dotarła do śladów. Nie było najmniejszej wątpliwości... na ceglach odbiły się stopy dorosłej osoby. W zacienionej części patio ślady były jeszcze wilgotne – choć te poza cieniem słońce zdążyło wysuszyć.

Z domu wyszła Blanche, podeszła do niej i objęła ją. Mogło się to wydawać dziwne, ale Jennie była spokojna. Przyciskała policzek do rozjaśnionych przez słońce suchych włosów sąsiadki i wtulała podbródek w jej bluzkę bez rękawów, lecz nie płakała. Nie chciała współczucia – chciała zemsty. Ktoś tu był. Ktoś wszedł na podwórko i zabił jej syna. Musiała się dowiedzieć, kto to zrobił.

* * *

Porucznik Harris krążył po podwórku i spoglądając na basen, marszczył czoło, jakby się spodziewał, że za chwilę spod wody wypłynie kolejne ciało. Był niski i barczysty – budową przypominał worek marynarski – na głowie miał krnąbrny pióropusz rudawych włosów, a na podbródku szeroką czerwoną bliznę. Gdyby Columbo był

rzeczywistą postacią, wyglądałby jak Harris. W odróżnieniu od Columbo porucznikowi intuicja nie podpowiadała jednak, kto mógł zabić Mike'a.

– Widziała pani, że krzaki się ruszają, tak?

– Tak. Kiedy wybiegłam z domu, dygotały.

– W jaki sposób? Jakby poruszał nimi wiatr?

– Nie było wiatru.

– To mógł być pojedynczy podmuch. Pewnie to sprawa Santa Any. – Miał na myśli suchy, gorący wiatr wiejący w południowej Kalifornii z pustynnych regionów.

– Nie było żadnego wiatru.

Porucznik Harris podszedł do oleandrów i osłonił dłonią oczy.

– Nie dałoby się tu schować, prawda?

– Nie bardzo.

– Jeżeli ktoś tu był, istnieje spore prawdopodobieństwo, że pani by go zobaczyła, tak?

– Nie mogłabym nie zobaczyć. Były jednak tylko odciski stóp.

Porucznik Harris krążył wokół krzewów, przyglądając się cegłom.

– Cóż... no tak... skoro pani tak mówi. Ale zniknęły, prawda? Wyszły. W najlepszym wypadku byłyby to poszlaki, a teraz nie mamy nawet tego.

– Nie wierzy mi pan – rzuciła Jennie.

Porucznik wyjął z kieszeni pogniecioną serwetkę z restauracji i otarł sobie czoło. Dzień był tak gorący, że upał

niemal ogłuszał.

– Co mam powiedzieć? Pani syn utonął i naprawdę mi przykro, nie ma jednak dowodów, że był w to wmieszany ktoś trzeci. Te ślady stóp... cóż, mogły być pani, nieprawdaż?

– Nie chodziłam po tej stronie basenu.

– Może pani tego nie pamięta... Wie pani... w szoku pamięć płata figle.

– Poruczniku, nie podchodziłam do tej części basenu. A na pewno były tu odciski stóp. Stóp dorosłej osoby. Ktoś wszedł na nasze podwórko i wepchnął Mike'a pod wodę. Jestem tego pewna.

Porucznik Harris na chwilę zasłonił usta dłonią, po czym z namysłem popatrzył na wodę.

– Pewnie pani wie, że rozmawiałem z Tracey – odezwał się po chwili.

– Oczywiście. Tracey zawsze mówi prawdę.

– Powiedziała, że nie widziała nikogo na podwórzu i byli przy basenie tylko ona i brat. Potwierdziła, że nie było pani jedynie kilka minut. Dwie, góra trzy minuty. Mike dostał się pod wodę i nie mogła nic zrobić, by go uratować. Takie tragedie są w Los Angeles na porządku dziennym. Ludzie mają baseny, mają dzieci i zawsze istnieje ryzyko, że ktoś utonie. Co mamy robić? Zlikwidować baseny? Nie mieć dzieci?

– Mike pływał jak ryba. Nie mógł się tak po prostu utopić.

– Cóż... bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało, uważam jednak, że to jedynie tragiczny wypadek. Oczywiście przekażę sprawę koronerowi. Ostateczna decyzja zależy od niego, nie sądzę jednak, byśmy podjęli poszukiwania osoby trzeciej winnej tego zdarzenia. – Przerwał na chwilę. Jego pomarszczone czoło błyszczało od potu. – Pani Oppenheimer, jeżeli pani albo pani mąż chcielibyście z kimś porozmawiać... możemy was skontaktować z odpowiednim terapeutą...

– Dziękuję, nie trzeba – odparła Jennie. – Chyba wiem, z kim powinnam porozmawiać.

* * *

Jim próbował wepchnąć mającą metr dwadzieścia figurę Hanumana, nepalskiego boga małp, do wysokiego na sto piętnaście centymetrów kartonu. Twarz sześcioramiennej i sześcionogiej rzeźby wyrażała cierpienie osobnika dotkniętego chronicznym zatwardzeniem. Po dwudziestu minutach walki twarz Jima nabrała podobnego wyrazu. Obserwowała go siedząca na oparciu kanapy kotka – Tibbles Dwa – która raz za razem zamykała ślepią, jakby obserwacja niemającego szansy powodzenia przedsięwzięcia doprowadzała ją do rozpacz albo jakby nie mogła pojąć, dlaczego Jimowi zależy na zachowaniu takiej paskudnej figury.

– Hanuman przynosi szczęście, rozumiesz? – poinformował kotkę. – Ponieważ ostatnio miałem mniej więcej

tyle szczęścia co Wiluś E. Kojot, czuję potrzebę wożenia tej figurki ze sobą.

Tibbles Dwa nie odpowiedziała, zamknęła ślepią i udawała, że śpi. Jim ciągle jeszcze trochę się jej bał. Od momentu, kiedy pojawiła się w jego życiu i przyłączyła do niego, był coraz bardziej przekonany, że nie on się nią opiekuje, ale odwrotnie. Co prawda to on otwierał puszkę karmy Dziewięć Żywotów, ale Tibbles Dwa najwyraźniej czuwała nad jego duchowym przeznaczeniem.

Zawsze kiedy patrzyła na niego żółtymi jak agaty ślepiami, miał wrażenie, że namawia go do zrobienia kolejnego kroku w nieznaną i czeka, by podążył za nią w miejsca, gdzie bywała, a których on nie znał. Do Strefy Nieznanego.

Pakował się, ponieważ lada dzień miał objąć stanowisko w Ministerstwie Oświaty w Waszyngtonie – Tibbles Dwa zostawała w Venice, u sąsiada, przyjaciela i samozwańczego gospodarza budynku, Mervyna Brookfeller. Jim był pewien, że Mervyn dobrze zaopiekuje się kotką, opiekował się bowiem bardzo dobrze niemal wszystkim. Choć mu za to nie płacono, odkurzał korytarz, wyciągał łyżeczki do kawy, które zaklinowały się w mielarkach odpadków pod zlewozmywakami, i robił dla starszych mieszkańców domu zakupy u Ralpa. Jim raz nawet podpatrzył, jak Mervyn cierpliwie karmi starą panią Kaufman jogurtem – niczym dobry rodzic dziecko. Pani Kaufman miała na sobie stary zielony flanelowy szlafrok, a Mervyn

wyszywany cekinami szmaragdowy T-shirt i obciste białe spodnie ze streczu. Ten widok niemal doprowadził Jima do płaczu.

W końcu przyznał się do porażki i wyciągnął Hanumana wraz z jego szczerzącymi zęby w uśmiechu małpimi pomocnikami z rozerwanego kartonowego pudła.

– Nie zaszkodziłoby, gdyby zaczęli robić religijne figurki w standardowych rozmiarach... – mruknął.

Tibbles Dwa odwróciła łebek.

W tym momencie zadzwonił telefon komórkowy i Jim przelazł przez kanapę oraz stertę kartonów, by go znaleźć. Czasami naprawdę lubił towarzystwo TD, przez większość czasu kotka doprowadzała go jednak do rozpacz. Jadła, spała, gapiała się na niego, ale nigdy nie raczyła odebrać telefonu ani nie przyniosła piwa z lodówki.

– Pan Rook?

– Tak, słucham. Jim Rook. Z kim mam przyjemność?

– Hm, nie wiem, czy mnie pan pamięta. Jennie Oppenheimer. A wcześniej Jennie Bauer. Chodziłam do pana klasy w dziewięćdziesiątym pierwszym.

– Jennie Bauer... Jennie Bauer... tak, jasne! Oczywiście, że cię pamiętam! Pewnie! Pamiętam wszystkich moich uczniów, nawet tych, o których właściwie zapomniałem. Sprawdźmy... *Król Lear*... kiedy Kordelia płacze nad umierającym królem i mówi: *A ty, nieszczęsny ojcze, musiałeś się gnieździć w zbutwiałej słomie, wśród świń*

*i włóczęgów!**... co wtedy powiedziałaś? „Czy to znaczy, że w schroniskach dla bezdomnych można było trzymać zwierzęta?” Tak, Jennie, pamiętam cię doskonale. Długie blond włosy. Byłaś miłą dziewczyną, ale, niestety, z niezbyt wielką zdolnością koncentracji.

– Mój syn nie żyje.

Jim nie wiedział, co powiedzieć. Bardzo rzadko miewał jakiegokolwiek informacje o swoich uczniach, którzy opuścili jego drugą klasę specjalną w West Grove College. Zawsze się zarzekali, że będą pisać i utrzymywać kontakt, z góry jednak było wiadomo, że tak nie będzie. Ci, których dzięki kursowi wyrównawczemu z angielskiego uratował przed harowaniem do końca życia w myjni samochodów, wyprowadzaniem cudzych psów za pieniądze czy innymi tego typu zajęciami, byli zbyt zajęci, by pamiętać nauczyciela, który pokazał im różnicę między Hamletem a omletem i doprowadzał ich do łez recytacją Johna Fredericka Nimsa. *Wniosek nocnego wiatru, deszczowa plotka...*

– Bardzo mi przykro – wymamrotał, zastanawiając się równocześnie, dlaczego go o tym zawiadomiła. Nie słyszał o niej od imprezy pożegnalnej po egzaminie końcowym. – Co się stało? Wypadek?

– Mike utonął. Wczoraj rano. Bawił się z siostrą w basenie i choć zostawiłam ich tylko na chwilę, utonął.

– Strasznie mi przykro. To tragedia. Ile miał lat?

* William Shakespeare, *Król Lear*, przełożył Stanisław Barańczak.

- Dziewięć. A tak dobrze pływał...
- Nie wiem, co powiedzieć, Jennie. Współczuję ci z całego serca. To twój jedyny syn?
- Jego ojciec jest zdruzgotany. Nie możemy mieć więcej dzieci i obarcza mnie winą za to, co się stało.
- To tylko wynik szoku, nic więcej – zapewnił ją Jim. – Jakoś sobie z tym poradzi. Wypadek to wypadek.
- O to właśnie chodzi, proszę pana. Dlatego dzwonię.
- Wiesz co? Sądzę, że możesz mi mówić Jim. Nie jesteśmy już w drugiej specjalnej.
- Tak, ale... ma pan... masz w dalszym ciągu tę zdolność?
- Jaką zdolność?
- Jesteś jeszcze w stanie widzieć... no... Widzisz duchy i tego typu rzeczy?

Jim nie odpowiedział, ale przez myśl przemknęło mu natychmiast: i co teraz? Wielu ludzi, którzy wiedzieli, że widzi duchy i inne istoty nadprzyrodzone, chciało, by pomógł im w różnych problemach związanych ze zjawiskami nie z tego świata. Chcieli na przykład, by wywołał ducha zmarłego wujka Charliego i kazał mu wyjawić, gdzie ukrył monety z wojny secesyjnej, albo chcieli wiedzieć, czy powodem ich nieszczęść jest promieniujące zimnem miejsce w kuchni. Nikt nie chciał przyjąć do wiadomości, że choć zjawiska nadprzyrodzone stale nam towarzyszą, duchy nie są zainteresowane kontaktami z osobami żyjącymi czy pomaganiem im, choć rzadko się zdarza, by im

szkodziły. Są łagodne – przynajmniej większość z nich – i nieco oszołomione, jak ofiary wypadku autobusowego.

Jennie powiedziała jednak coś, czego się nie spodziewał.

– Niech pan... Posłuchaj... kiedy wyszłam z domu, byłam pewna, że ktoś się właśnie przeciskał przez krzaki. Gdy próbowałam ratować Mike’a, zobaczyłam na ceglach obok basenu ślady mokrych stóp. To nie były odciski stóp dziecka, Mike’a albo Tracey, musiał tam być ktoś jeszcze. Moja córka twierdzi, że nie widziała nikogo, a zanim przyjechała policja, ślady wyschły. Detektyw tłumaczył mi, że to z powodu szoku... Tak, oczywiście, że byłam w szoku, ale wiem, co widziałam.

– Więc... eee... co mam zrobić?

– Chciałabym, żeby pan... żebyś znalazł tego, kto zamordował Mike’a, Jim. Chcę się dowiedzieć, kto wepchnął go pod wodę i dlaczego... – Zaczęła płakać, a była tak zrozpaczona i wyczerpana, że jej głos nabrał basowego, gardłowego brzmienia, jakby śpiewała arię w operze tragicznej.

– Jennie... chętnie bym ci pomógł, ale brzmi to jak zadanie dla policji.

– Mówiłam ci! Policja mi nie wierzy. Chcą to uznać za wypadek albo zaniedbanie ze strony rodziców czy coś w tym stylu.

Jim usiadł na bocznym oparciu kanapy. Słońce już zachodziło i wieczorne niebo nad Venice nabrało koloru

jeżynowej galaretki.

– Jennie, pakuję się właśnie. Zaproponowano mi pracę w waszyngtońskim Ministerstwie Oświaty.

– Wyjeżdżasz? A co z drugą specjalną?

– Cóż, wszyscy musimy iść do przodu. Będę miał szansę pomóc uczniom w całym kraju, nie tylko w Los Angeles.

– Kiedy wyjeżdżasz? Możemy się przedtem spotkać?

Jim popatrzył na Tibbles Dwa, ale kotka tylko ziewnęła i wbiła pazury w poduszki. Albo go prowokowała, by podjął decyzję, albo próbowała mu powiedzieć, że marnuje czas. Już nieraz widywał, do czego jest zdolna. Była wrażliwsza od większości tak zwanych mediów, z którymi kiedykolwiek miał do czynienia.

Dzień przed nadejściem oferty nowej pracy w Waszyngtonie wyciągnęła z talii Grimaud ósemkę karo, która oznacza „zwlekanie”, oraz asa karo, reprezentującego „niegodziwą kobietę”. Potem odmaszerowała wyniośle, wskoczyła na kanapę, zwinęła się i zaczęła go obserwować.

– Właśnie się pakuję – powiedział Jim do słuchawki. – Mam lecieć w środę rano.

– Panie Rook... przepraszam, Jim... wiem, że się narzucam, ale wiem też, że utonięcie Mike’a nie było przypadkowe, i nie znam innego sposobu, by to udowodnić.

Jim przeciągnął palce przez potargane włosy. W lustrze na przeciwległej ścianie inny Jim Rook zrobił to samo.

Ten w lustrze myślał: jeżeli zaczynasz zajmować się uczniem, uczysz go, jak pisać i mówić oraz wyrabiać sobie zdanie o otaczającym go świecie, gdzie kończy się twoja odpowiedzialność? Na co cała poezja, której ją uczyłeś, wszystkie godziny walki z Shakespeare'em, Emily Dickinson i Kennethem Patchenem... *Zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego w niebie powybijano wszystkie okna?**

Problem polegał na tym, że znał odpowiedź na to pytanie, a brzmiała ona: odpowiedzialność nauczyciela nigdy się nie kończy – tak jak odpowiedzialność rodzica albo księdza.

– W porządku – odparł. – Znasz Café del Rey przy Admiralty Way? Możemy się tam spotkać o... może o ósmej?

– Przepraszam – powiedziała Jennie i wiedział, że znowu płacze. – Tak się boję... jestem taka przerażona... i nie przyszedł mi do głowy nikt inny, do kogo mogłabym się zwrócić...

Kiedy się rozłączyli, Jim usiadł na skraju kanapy i spuścił głowę. Obiecał sobie, że nigdy więcej nie zgodzi się pomóc nikomu, kto ma problemy z powodu zdarzeń nadprzyrodzonych – a przynajmniej zdarzeń mogących mieć nadprzyrodzoną przyczynę. Mając dziewięć lat – tyle co Mike – o mało nie umarł na zapalenie płuc i od tego czasu nieustannie widywał twarze, postacie i rzeczy, o których wołał nie myśleć.

* Kenneth Patchen, *The Character of Love Seen as a Search for the Lost*.

Cienie, duchy. Demony biegające po ulicach i krzyczące do niego z szaf. Martwych ludzi stojących pod supermarketami. Smutne i zdezorientowane twarze odbijające się w oknach, za którymi nikogo nie było.

Nie mógł już tego dłużej wytrzymać. Ludzie nie pojmowali, że dla niego ta zdolność jest udręką. Nie mógł wybierać tego, co widzi. Co miał począć, gdy podczas wizyty u przyjaciela widział jego zmarłego dziadka, siedzącego w rogu pokoju? Co miał wtedy mówić?

Kiedy tak siedział, Tibbles Dwa zeskoczyła z kanapy na podłogę. Podeszła miękko do stolika do kawy, na którym Jim zebrał wszystkie talie mistycznych kart, jakie posiadał. Stała na tylnych łapach i zrzuciła talię Grimaud tak, że wszystkie karty powypadały z pudełka i rozproszyły się po podłodze.

– Dzięki, TD. Miło wiedzieć, że istnieje ktoś umiejący bałaganić bardziej ode mnie.

Ukląkł, by pozbierać karty, ale TD złapała jedną z nich w zęby i ruszyła do kuchni.

– Niech to... – zaklął Jim i poszedł za kotką.

TD stała nad swoją miską z wodą. Wrzuciła do niej kartę i przyglądała się, jak tonie.

– Wspaniały pomysł – mruknął Jim. Pochylił się, wyjął kartę i otrząsnął ją z wody. Była to dziewiątka trefl, karta „śmierć”, pozbawiony oczu szkielet, owinięty ciemnoszarą płachtą i trzymający na ramieniu kosę, a w dłoni klepsydrę. – Co to ma znaczyć? Nagle zaczęłaś się bawić

w statki? – spytał, unosząc ociekającą wodą kartę.

TD wpatrywała się w niego, jakby nie mogła uwierzyć w taką tępotę.

– No więc o co chodzi?

Kotka podeszła do niego i szybkim ruchem łapy wytrąciła mu kartę z ręki. Potem wzięła ją do pyszczka i ponownie wrzuciła do miski.

– Śmierć w wodzie. To chcesz powiedzieć, tak? Śmierć przez utonięcie. Więcej niż jedna. – Jim wyłowił kartę i ponownie otrząsnął ją z wody. – Posłuchaj: porozmawiam z Jennie i spróbuję się dowiedzieć, co się stało. Nie mogę jednak zrobić nic więcej. Wyjeżdżam w środę do Waszyngtonu, a kiedy wyjadę, wyjadę na dobre i nikt więcej na świecie nie dowie się, że mogę widzieć jego niedawno zmarłego siostrzeńca, grającego w piłkę na trawniku.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).